

Kazanie na dole

Każdy z nas zna, choćby ze słyszenia, fragmenty biblii. Mam i ja swoje, ulubione: Kazanie na górze, dzięki któremu wiem, kto jest błogosławiony, a komu nic się nie będzie należało, oprócz wiecznej poczekalni. I jeszcze hymn o miłości, z którego wynika, co jest najważniejsze.

A gdyby tak słowo „miłość” zamienić na wyraz „reportaż”? Co nam wyjdzie?

Że to on „(...) cierpliwy jest, dobrotliwy, nie zazdrości, nie jest chętny, nie nadyma się. Nie postępuje nieprzystojnie, nie szuka swego, (...). Nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się raduje z prawdy. (...) wszystkiego się spodziewa, wszystko znosi(...) nigdy nie ustaje.”

Dawno, dawno temu, kiedy byłam nastoląką, uczyłam się dziennikarskiej sztuki w Klubie Dziennikarzy Młodzieżowych. Dzięki temu wyjeżdżałam na warsztaty, odbywałam praktyki w poważnych gazetach i jeździłam w delegacje. Meldowałam się w hotelach na podstawie legitymacji szkolnej, bo dowodu osobistego jeszcze nie miałam. Dziennikarzem chciałam być od zawsze, ale dla czego tego chcę, przekonałam się w czasie jednej z takich delegacji właśnie.

Znajomy z Mławy dał mi znać, że w jego rodzinnym miasteczku wystąpiła inwazja godna Hitchcocka. Chmary ptaków zawisły nad Mławą i nie chciały odlecieć. W ślad za nimi zlecieli się ornitolodzy i inni znawcy przyrody. Dziennikarza zaś, ani jednego. Byłam więc pierwsza i jedyna.

Już na miejscu przekonałam się, czym różni się Mława od scenerii z filmu Hitchcocka. Ptaki z horroru zadziobywały ludzi na śmierć. Ptaki z Mławy zapaskudzały równie bezlitośnie. Na miasto, domy, chodniki, ulice i place lał się nieustający deszcz. Gęsty i śmierdzący. Służby miejskie nie podejmowały nawet prób uprzątnięcia tego, co wciąż lało się strumieniami z góry. Z domów wychodzili tylko ci, którzy naprawdę musieli. Wyglądali komicznie pod parasolami, których nie można było odstawić do suszenia w przedpokoju czy korytarzu. Ja parasolki nie miałam (błąd w dokumentacji), a w miejscowym sklepie zabrakło ich już w pierwszym dniu inwazji. Przebiegałam więc przez Mławę z gazetą na głowie wypatrując jakiejś budy, pod którą mogłabym się schronić i pomyśleć. Los zdarzył blaszany kiosk z biletami autobusowymi. Przedstawiłam się panu z okienka, wpuścił mnie do środka, ze zrozumieniem. Opowiadał, że to trwa już kilka dni, że diabli wiedzą, co to za ptaszyska i dla czego zatrzymały się w Mławie, a właściwie nad Mławą. Ludzie mówią, że to chyba ruskie wrony, które wyhamowały, zamiast lecieć dalej na sezon i że to oznacza, że widocznie u

Ruskich coś się dzieje politycznego, dlatego one wolą przeczekać w Polsce. Ta teoria spodobała mi się najbardziej. Już zachodziłam w głowę jak ją sprzedać w gazecie. Były lata 80-te i napisanie, że w ZSRR dzieje się coś tak złego, że nawet wrony zawracają, nie wchodziło w grę!

Wtedy zdarzyło się coś dla mnie najbardziej istotnego. Choć nie miało nic wspólnego ani z wronami, ani z Mławą ani ze Związkiem Radzieckim. Do okienka podeszła pani pod parasolką i poprosiła o bilet. Każdy z nas tysiące razy w życiu to robił. Każdy wie jak wygląda kiosk od strony okienka. Wszyscy niezliczoną ilość razy pochyłaliśmy się do odsuwanej szybki, mówiliśmy krótkie zdanie, dawaliśmy jakiś pieniądz i czekaliśmy na resztę. Ja wtedy w Mławie zobaczyłam kiosk oczami kioskarza. Głupkowato wygląda człowiek, który dyga przed okienkiem, rękę po bilet i resztę wyciąga jak po jałmużnę, a jeśli się uśmiecha, to z tej pozycji (środką kiosku) nie wygląda to grzecznie, ale służalczo. Fakt, że tym razem dygnięciu klientki towarzyszył parasol oblepiony ptasimi odchodami, że w blaszany dach budy bez przerwy walił gęsty deszcz, którego charakteru byłam świadoma, tylko dodawał całej sytuacji pikanterii. Nie stanowił o jej wyjątkowości. Oto ja, uczennica jedyne Liceum Ogólnokształcącego w Wołowie, dojeżdżająca z Wińska (a więc automatycznie gorsza, bo ze wsi), nastolatka w roli pani redaktor, oglądam oczywistą, zwyczajną, pospolitą wręcz rzeczywistość z zupełnie innej strony. Nie jestem klientem kiosku, ale kioskarzem. Mam przy tym ostrość widzenia większą niż on, bo nie robię tego przez 8 godzin dziennie, aż do emerytury. Przeciwnie. Wpadłam tu na chwilę w imieniu wszystkich klientów wszystkich kiosków w Polsce, żeby im powiedzieć jak tu jest po drugiej stronie.

Dziś nie pamiętam, jakie wnioski wyciągnęli naukowcy, ornitolodzy i inni badacze przyrody z inwazji ptaków na Mławę. Wiem, że wrony (według koncepcji kioskarza – ruskie), znikły równie nagle i niespodziewanie, jak przybyły. Natomiast widoku kiosku od strony kioskarza, wyglądu klienta od strony odsuwanej szybki, nie zapomnę nigdy. Od tego śmierdzącego, lepkiego mławskiego dnia, nie miałam już wątpliwości, dlaczego chcę być dziennikarzem. I jaka forma twórczości będzie dla mnie najważniejsza. Jaki gatunek zmieści historię Mławy, wron, parasolek, kiosku i Związku Radzieckiego jednocześnie. Reportaż. Oczywiście, że reportaż.